

Kronika tygodniowa.

Zdaje mi się, że ja już nigdy nie zaznam spoczynku. Zaledwie uspokoiłem się z hyenami licytacyjnymi, otrzymuję znowu list, w którym jakaś niewiasta (zapewne dla odmiany, gdyż ten pedagog „od hyen” był rodzaju męskiego), żąda odemnie oświadczenia się, jak się zapatruję na kwestię mordu rytualnego.

Jest to znanadto „krwawa” historia. Przyznam się szczerze, że jestem za głupi na to, aby się zapuszczać w takie kwestie teologiczne. Ponieważ jestem dla dam bardzo uprzejmy, postanowiłem zadośćuczynić żądaniu interpelantki i poszedłem do kilku matadorów mojeszowego wyznania, którzy, gdy im wyluszczyłem, o co mi się rozchodzi, pokiwali poważnie brodami, pokręcili trybuszony, mlaśnieśli językami i tak na mnie spojrzeli, że mogłem sobie to dwojako wytłumaczyć.

I tak się stało. Przyszedłem do przekonania i to niezbitego, iż żydzi albo używają krwi do przyrzadzania mac wielkanocnych, albo jej nie używają, a tyle, co i ja, wiedzą wszyscy ci, którzy o tem rozpisywali się szeroko i długo lub gadali, aż ich bolały zawiasy.

Kraków na ogół całym tym procesem bardzo mało się zajmuje, więcej każdego interesuje n. p. kwestya Schenkera.

Gdzie się ruszysz, czy wejdiesz „pod Palmę”, czy do tak pobożnego lokalu, jak „pod Obraz”, wszędy opowiadają sobie różne krotchwilę o kawałach nerwowego pana. W szczególności na Podgórzu, gdzie stałe mieszkał, krążą o nim prawdziwe anegdoty, które, sądząc, ktoś zbierze i wyda, a zrobi na tem stanowczo doskonały interes.

Otóż, utrzymują niektórzy z całą stanowczością, że Schenker daleko wcześniej opuścił niewdzięczny Kraków, który ma jednak grzecznego bardzo prokuratora. Z przyzwyczajenia prosi on każdego siedzieć, a tego ludzie bardzo nie lubią. Przyznam się, że i ja jestem tego samego zdania...

Nie chcąc więc bliżej zaznajomić się z panem prokuratorem, ciężko chory na nerwy pan Schenker wyjechał sobie najspokojniej z Krakowa, postarał się jednak o zastępcę, który przez kilka dni grał z powodzeniem jego rolę, to jest był rzeczywiście chory, jęczał i stękał, jak się patrzy i tego rzeczywiście do sanatorium przewieźć nie było można. Czy to jednak miało być sanatorium pod wezwaniem świętego Łazarza, czy świętego Michała, o tem ekspertyza znawców nie mówi.

Ta wersja rehabilituje poniekąd specjalistów od chorób nerwowych, poznali się na chorobie Schenkera tak samo, jak ich berliński koleś, jestem bowiem pewnym, że jeśli pan Zygfryd powróci jeszcze kiedyś do nas, przywiezie z pewnością świadectwo od znakomitości zagranicznych, które stwierdzą z całą stanowczością jego niepoczytalność.

Nie brak niedowiarków, którzy są zupełnie innego zdania i nie wierzą wcale, jakoby pacjent wyjechał. On zbyt kochał Kraków i Podgórze, by się z nimi miał rozstawać, że się zaś nie pokazuje publiczności, to tylko ze względu na nadwątłone zdrowie. Byłby niezawodnie przedmiotem owacy, a to mogłoby mu poważnie zaszkodzić.

Onegdaj idę sobie spokojnie pod arkadami Sułkiewicz i spotykam jednego ze znajomych, który lubi, jak to powiadają, brać ludzi na kawał.

Zaledwieśmy się powitali, on mi z miną tajemniczą szepcze do ucha:

— Czy wiesz, Schenker się zgłosił!

— Nie może być!... Do policy? — pytam ciekawie.

— Skądże, znowu! — on mi na to. — Do swych krewnych w Berlinie. Stamtąd przesłał pono już kilka widokówek.

Udałem, że mi się ten „wic” spodobał, ale, myślę sobie: Poczekaj, już ja ci się odplacę w ten sam sposób.

Rozmawiamy więc dalej o najróżnorodniejszych sprawach, wreszcie schodzimy na sprawy wychodzące i aresztowanie księdza Szpondra.

Mówimy o tem długo i szeroko, wreszcie ja, z miną całkiem poważną, robię uwagę:

— Nie wiem, ile na tem prawdy, ale słyszałem i to z ust poważnych, że Szpandra dziś rano wypuścili.

Teraz on aż skoczył i zawołał:

— Ależ, to niemożliwe! Przed ukończeniem śledztwa nie uwolnią go, za to ręczę!

A ja mu na to:

— I ja jestem tego samego zdania!

— To dlaczego mówisz, że go puścili na wolność?

— Ja mówiłem, że na wolność?... To ci się chyba zdawało! Utrzymałem, że go puścili dziś rano na ogród na spacer, bo taki ładny dzień...

Teraz z kolei i on się uśmiechnął i w miłej zgodzie pociągnęliśmy na bombkę „pod Obraz”, gdyż akurat była pora odpowiednia, trzeba zaś korzystać ze sposobności, póki nie wejdzie w życie rozporządzenie magistratu, że trunkodajnie mają być w niedzielę zamknięte.

To będzie doprawdy klęska dla tych, którzy teraz z taką przyjemnością soboty wieczór i niedzielę spędzają pod znakiem Bakchusa...

Odbyłem niedawno z jednym takim panem interwiew, właśnie w tej kwestyi.

— Jak się wielmożny pan dyrektor na to zapatruje? (...Zaznaczam, że teraz w Krakowie, aby kogoś nie obrazić, najlepiej prosto z mostu tytułować go radcą lub dyrektorem. Jestem pewnym, że go to zadowolni, przecież każdy kieruje czyli dyryguje swymi własnymi interesami i radzi, bodaj sam sobie!)

Spojrzał na mnie melancholijnie, pociągnął z bombki i rzekł:

— Dobre piwko!... Panie Władziu! Jeszcze jedną bombkę, ale z ogrzewaczem, bo mnie coś tu gniecie!... — (W tem miejscu wskazał na potężny żywot, który mógłby stanowić prawdziwą ozdobę każdej wystawy opasowej)... Ha! Starość nie radość.

— Śmierć, nie wesele! — dorzuciłem, aby go rozruszać.

— Co mi tam pan o śmierci gadasz! Ja postanowiłem sobie, że mój pogrzeb musi urządzić już miejski zakład, o którym pisałeś w poprzedniej kronice...

— Oho! To dyrektor dobrodziej radby, widzę, żyć jeszcze z pół kopy lat, zanim ten projekt bowiem przejdzie wszystkie alembiki, to sporo czasu minie! Prosiłbym jednak o odpowiedź na moje pytanie?

— Jakże, bo sobie już zapomniałem! Aha! Już wiem. Ale daj słowo, że nie napiszesz nic o tem, o ile sobie bowiem przypominam, interwiewowałeś jednego ze znajomych w tej kwestyi, a potem to wypisałeś...

— Tak, to prawda! Wówczas chodziło mi o zapatrywanie jego z punktu ogólnego widzenia i ze względu na dobro miasta, teraz jestem ciekawy, jakie jest osobiste przekonanie pana dyrektora. Mają słusność, czy nie?

— Absolutnie nie! Mój panie! Tak ja, jak i ty, jesteśmy ludźmi pracy, którzy, jak Bóg przykazał, przez sześć dni w tygodniu pracują i to nieraz nie po ośm godzin, jak każe pan Daszyński, ale stanowczo więcej i to bez żadnej dopłaty. Po tej pracy potrzebny jest stanowczo wypoczynek i jakaś rozrywka... Mieciu! Dajno bombkę, ale z ogrzewaczem, bom dziś jakiś nie ten tego... Człowiek chce ludzi widzieć, chce z nimi pogadać, dowiedzieć się, co słychać w świecie... Mam może iść do kawiarni?... Ani mi się śni!... To dobre dla bab! Ja bodaj w sobotę idę sobie na bombkę, naturalnie nie jedną, ani dwie, potem człowiek wraca do domu, w niedzielę można się wyleżeć bodaj do jedenastej, potem na flaczki, bo któż bez nich się obejdzie... Jasiu!... A nie ma tam dziś przypadkiem flaczek?... Nie?... to szkoda! Po flaczkach drzemka, potem spacererek, wieczorem znów do knajpki, ale już tylko do dziesiątej... Przed snem, bo jutro znów praca! To jest, panie łaskawy, żywot pocziwego człowieka w sobotę wieczór i niedzielę, a magistrat chce to zniszczyć jednym pociągnięciem pióra... Oby z piekła nie wylazł ten, który podał ten projekt, aby go prześladowało nieustające pragnienie!... Panowie! Zaklinam was, gdyby tu przyszedł i prosił o małe piwo, a chciał zapłacić za nie nawet koronę... nie sprzedajcie!

— Przekonał mnie dyrektor dobrodziej. Można jednak tak się urządzić, że na sobotę i niedzielę przygotowuje sobie człowiek zapasik w domu!

— O... co to, to nie! W domu tak nie smakuje! Zresztą, powiem ci szczerze, człek kontent, że nie słyszy gderania starej...

— No, a w Boże Narodzenie i Wielkanoc? Wówczas obchodzi się pan bez knajpki...

— E!... Raz lub dwa na rok, to jakoś to człowiek zniesie. Zresztą, mój łaskawco, czytałem w „Nowej Reformie”, że dzięki obstrukcyi ruskiej będziemy mieć, jak się zdaje, już wkrótce nowe wybory do sejmu, jakże więc można pozwolić na to, by lokale agitacyjne właśnie w niedzielę i święta, kiedy agitacja wre w najlepsze, były zamknięte!... Czy to ma być tak zwana wolność wyborów?

— Święte słowa, dobrodziej! Należałoby je wyryć na marmurze i przekazać potomności!

— Zresztą, mój panie, jeśli już chcą koniecznie, niech sobie zamykają szynki, a nasze knajpki niech nam zostawiają w spokoju. Mamy zresztą w rękach

środek obrony. Jeśli radcy-eleuterycy i magistrat uprą się, aby przeprowadzić ustawę, my ogłośmy wtedy ogólny strejk i przestańmy płacić podatki. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie...

Podniesiony na duchu opuściłem gościnne sklepienie i skierowałem się ku domowi, po drodze jednak spotkałem znowu jegomościa, nazywanego w Krakowie „żywym dziennikiem”, który wie wszystko, co się stało w mieście, co się w tej chwili dzieje, umie mówić nawet o tem, co będzie.

— Panie kochany! — zawołał, ujrzawszy mnie zdaleka. — Sensacya! Wy, kronikarze, to, dalibóg, urodziliście się pod szczęśliwą gwiazdą. Nigdy wam nie braknie materiału do pisania. Jak nie wojna, to katastrofa kolejowa, jakiś ciekawy proces, samobójstwo... Mam dla pana kochanego nowinkę... Pan wie, że zamknęła doktora Goldbergera z Podgórza?

— Wiem! — odparłem.

— Otóż, w takim razie powinien pan wiedzieć także, że starał się on o wypuszczenie za kaucyą na wolną stopę, ale sąd na to się nie zgodził. Ponieważ nie ma teraz co robić, bo akurat wszyscy współwięźniowie i dozorczy są zdrowi, rozmyśla i przyszedł do przekonania, że on, a nie kto inny powinien otrzymać katedrę ginekologii w utworzyć się mającej w Krakowie Akademii górniczej. Skoro tylko znajdzie się na wolności, wniesie, gdzie należy, udokumentowane podanie.

— Rzeczywiście, że to ciekawa wiadomość! Dotąd o tem nie słyszałem! Jeśli zrobię z tego użytek w kronice, to w każdym razie na pańską odpowiedzialność...

— Ależ i owszem! Pan wie przecież, że ja nigdy na wiatr nie mówię, a informacje moje opierają się zawsze na pewnych danych...

Ze względu na pierwszorzędne znaczenie tej wiadomości, uważam za kronikarski obowiązek podzielić się nią z szerszą P. T. Publicznością. Wolno jednak każdemu wierzyć, albo i nie.

Nareszcie więc doczeka się Kraków tej upragnionej tak dawno chwili, w której utworzą się gościnne podwoje nowej oazy „pod Palmą”, czyli lokalu Hawelki. Wszystko już gotowe, zdaje się jeszcze w bieżącym tygodniu rozpocznie pan radca Macharski w Pałacu Spiskim pełnienie uczynków miłosiernych co do ciała Krakowian. Łaknący i pragnący cieszyć się więc, cieszyć się i politycy, życiodajny pilzner przyczyni się poważnie do zjednoczenia Słowian w ogólności, a Polaków i Czechów w szczególności.

Na zakończenie pozwolę sobie wspomnieć w kilku słowach o kłopotach finansowych księżnej Luizy Koburskiej, córki s. p. króla belgijskiego, wesołego Leopolda. Jest ona prawdziwą męczenniczką, w takiej paskudnej opresyi żyje dzięki swym wierzytelom, których lista dłuższą jest od litanii do Wszystkich Świętych!

Teraz, gdy pertraktacje spadkowe po papie są już na ukończeniu, dowiadujemy się, że przypadnie jej siedm milionów franków.

Jest to sumka nie do pogardzenia, cóż jednak robić, gdy długi jej razem zliczone wynoszą tylko... dwadzieścia milionów. Można wobec tego powiedzieć o niej, że żyje z procentów od swych długów.

Księżna jest już zdecydowaną poświęcić ze spadku pięć milionów na pokrycie zobowiązań, a sobie zostawić dwa, nie wiadomo jednak, czy zgodzą się na to wierzytiele, którym nie podoba się tego rodzaju sanacya stosunków finansowych.

Nie róbmy sobie więc nic z biedy, która nas gniecie, pocieszając się, że nie lepiej wiedzie się i niejednej koronowanej głowie. Jako zdeklarowany konserwatysta postaram się i ja wstąpić w ślady sympatycznej Luizy i... będę dalej robić długi.

A teraz jeszcze coś, co powinno uradować rodu męski.

Mężczyźni, ciescie się, wartość wasza jest niepoślednią. W Nowym Jorku wytoczyła pani Blake proces przeciw pani Mackayowej o odszkodowanie za uwiedzenie męża. Za to, iż uwodzicielka zabrała jej męża „serce, towarzystwo i poparcie materyalne”, żąda pokrzywdzona drobnotki, bo tylko pięciu milionów franków...

IKA-ABADIE

TUTKI ZE STERYLIZOWANĄ WATĄ

Papier ten wyrabia się z najdelikatniejszych włókien roślinnych bez domieszek barbowych, wyłącznie we fabrykach

„Société Abadie w Paryżu”

Papier ten pali się lekko i równo i nie wywołuje żadnego drapania w gardle.